



Jerzy Broszkiewicz

CI Z DZIESIĄTEGO TYSIĄCA

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020
Autorka okładki: Anna Niemierko
ISBN: 978-83-66719-21-7

SPIS TREŚCI

[ÓSMEGO MARCA](#) (4)

ÓSMEGO PAŹDZIERNIKA (82)

ÓSMEGO MARCA

JAK WIADOMO, BUDZIMY SIĘ W BARDZO RÓŻNY SPOSÓB. Czasem trzeba wygrzebywać się ze snu ciężko i z trudem — niczym ze śnieżnej zasy. Innym znów razem przebudzenie bywa nawet i zabawne. Jakby się bez powodu i przyczyny wlatywało w powietrze.

Ion Soggo — od którego przebudzenia rozpoczynamy niniejszą opowieść — niemal zawsze budził się w ten drugi sposób. Od momentu w którym szeroko otwierał oczy — cieszył się sobą, życiem i światem, choć w końcu żadna z tych rzeczy nie była wyłącznie do śmiechu. Od niemowlęcych jednak czasów aż po dzień dzisiejszy, kiedy to ukończył równo czternaście lat i trzy miesiące, Ion Soggo ogromnie lubił się śmiać.

Wymagało to charakteru. Ion Soggo bowiem — ciemny blondyn o jasnej skórze, orzechowych oczach, krótkim nosie i długich nogach — śmiał się w sposób, który zdaniem jego rodziców najbardziej przypominał (cytujemy) „atak kaszlu u oszalałej z pośpiechu i ciężko zagrypionej kukułki”.

Mniej więcej przed sześcioma laty któryś ze złośliwych kolegów nagrał śmiech Iona na taśmę. Potem puścił mu ją bez uprzedzenia.

Ion słysząc dziwne odgłosy zaczął bardzo głośno się śmiać. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, jak bardzo podobne do siebie są obie te muzyki. Wtedy przestał się śmiać. Rzecz w tym jednak, że taśma nie przestała.

Ion słuchał przez chwilę z wielką uwagą. Potem stwierdził:

— To potworne.

I uśmiechnął się. Przyznajmy: najchwalebniej świadczy o jego charakterze to, że nadal śmiał się chętnie i nic nie utracił ze swej wiernej radości życia.

Tego zaś właśnie ranka, który otwiera niniejszą historię, przebudził się w nastroju szczególnie wesołym, a jego wzrok padł na stojącego nad nim Robika. Robik odpowiedział uśmiechem, podniósł rękę i rzekł swym łagodnym głosem:

— Siódma trzydzieści. Dzień dobry, Ion.

Kilka następnych zdań Ion wypowiedział w sposób wielce rytmiczny. Wygłosił je bowiem w trakcie kilkuminutowej gimnastyki, którą odbywał zawsze po przebudzeniu, dla rozruszania — jak mawiał — dobrego humoru na cały dobry dzień.

Brzmiało to mniej więcej tak:

— Powinien-być-bar...trzy, cztery... dzo-dobry-i-wesoły-gdyż ...trzy, cztery, przysiad... Tak-sobie-tego-życzymy-my-i... w górę, w dół... podskok... i-wobec-tego-postaramy-się... podskok... zaspo-koić-swoje-życzenia-życzenia-serdeczne życzenia.

— To wszystko nie ma sensu — powiedział Robik.

— Nie ma! — wrzasnął Ion z łazienki spod strumienia wody. — Ale co z tego?

— Nic.

— A to świetnie — oświadczył Ion wycierając się tak, jakby postanowił zetrzeć z siebie nie tylko wodę, ale i skórę.

— Łap! — krzyknął Robik.

Wpierw rzucił w stronę Iona koszulkę, potem szorty, potem jeden pantofel, drugi pantofel, kurtkę i skarpety. Ionowi udało się schwycić koszulkę, szorty, lewy pantofel i kurtkę. Prawy pantofel i skarpety przepuścił przez drzwi łazienki jak przez bramkę.

— Dwa zero — stwierdził Robik.

— Możesz się dać wypchać — powiedział Ion.

— Niestety, nie mogę — odrzekł Robik.

Potem obaj wyskoczyli przez okno na trawnik i Ion zawołał:

— Hej, Bliźniaki!

W najbliższym oknie ukazały się dwie czarnowłose, niebieskookie głowy — dwie bardzo zdziwione i bardzo ładne twarze należące do Alka i Alki Rojów.

Rojowie przybyli tu — podobnie jak Ion — na wakacje. W odwiedzinach do rodziców. Ion jednak znajdował się tutaj już od dwu tygodni. Bliźnięta zaś zjawily się dopiero poprzedniego dnia, późnym wieczorem. Nic dziwnego, że były obecnie czymś w rodzaju bliźniaczego upostaciowania Najwyższej Ciekawości.

Na widok Iona i Robika Alek przyjaźnie potrząsnął wzniesionymi w górę rękami.

— Hej, hej! — odkrzyknął.

Alka natomiast przymrużyła lekko oczy.

— Przepraszam — spytała zbyt uprzejmie. — Czy w tym miejscu „hej” oznacza „dzień dobry”?

Ion nie odpowiedział, albowiem przyglądał się Alce w zachwyceniu. Wprawdzie poznali się już wczoraj, ale trwało to bardzo krótko. Tyle, co przelotne powitanie. W dodatku wczoraj Bliźniaki były po podróży zmęczone i śpiące. Alka mimo zmęczenia zachowywała się z nieskazitelną uprzejmością i w sposób świadczący o znakomitym wychowaniu. „Nudna — ocenił Ion — jak wiersze o księżycach”S.

W tej natomiast chwili Alka miała nieprzyjemny wyraz twarzy, drwinę w oczach, kpinę w uśmiechu, a równocześnie była prześliczna, zachwycająca i jakby całkowicie nowa. Nic dziwnego, że Ion zamilkł z dość głupim wyrazem twarzy.

Na szczęście Robik miał zimniejszą od Iona krew.

— Nie, droga przyjaciółko — wyjaśnił z godnością — „hej” wcale nie znaczy „dzień dobry”. Natomiast przy odrobinie dobrej woli można to uznać za „dzień dobry”.

— Dziękuję za wyjaśnienie — uśmiechnęła się zimno.

— Dzień dobry — mruknął Ion.

— Nie mówiłeś wczoraj, że jest was dwóch. To brat? Starszy czy młodszy? I jak się nazywa? — pytał Alek, stając przed Robikiem. — Wcale nie jesteście do siebie podobni.

Alka poszła w ślady brata. Przesadziła parapet okna lekko i — jak pomyślał Ion — z niewymownym wdziękiem. Robik zaśmiał się trochę w stylu „kaszlącej kukułki”. — Godzina ósma zero zero — powiedział. — Śniadanie na was czeka. Wcale nie jesteśmy braćmi.

Bliźniaki spojrzały na siebie oczami, w których zabłysło nagle zdumienie. Na sekundę straciły głos.

— Niemożliwe! — krzyknął w końcu Alek.

— Absolutnie niemożliwe — powiedziała Alka.

Ion spojrzał na Robika z dumą. Tak bywało prawie zawsze, kiedy przybysze z dalekich stron — z okolic gdzie panowały inne niż w jego ojczyźnie zwyczaje — zaczęli orientować się, kim w istocie jest Robik.

Sam Robik uśmiechnął się z wyrozumiałą miną.

— Ależ możliwe — powiedział. — Całkowicie możliwe. Nie jesteśmy braćmi z tej przyczyny, że Ion Soggo należy do waszego gatunku i jest, oczywiście, człowiekiem... tyle że urodzonym na Saturnie.

— My, Soggowie — wtrącił z rzekomą obojętnością Ion — pochodzimy w prostej linii od pierwszych osadników saturnijskich.

— Ja zaś — ciągnął dalej Robik — należę do grupy człekopodobnych robotów. Jestem mianowicie najnowszym modelem saturnijskiego Robota Opiekunczego, najnowszym... oczywiście jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny. W istocie towarzyszę Ionowi od urodzenia. Przecież musieliście słyszeć o tym, że my, Roboty Opiekuncze, jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi człowieka na Saturnie.

Mówiąc to wszystko Robik nadal uśmiechał się do zdumionych Bliźniat swą bardzo piegowatą twarzą rudawego piętnastoletniego chłopca.

Alek powoli i z zachwyconym szacunkiem w oczach obchodził go dookoła. Alka natomiast bardzo twardo spojrzała w oczy Robika.

— Nie wierzę — powiedziała. — Głupie nabieranie.

Ion wspiał się z lekka na palce i czekał: jak tym razem Robik zareaguje? Zaniepokoił się nawet trochę. Już chciał powiedzieć „tylko bez przesady”, kiedy Robik ugiąwszy nogi w kolanach wyprysnął nagle w górę ogromnym kilkunastometrowym skokiem.

— Co?! — krzyknęła Alka.

Robik wracał już na dół. A że miał własny regulator ciężenia, opadał o wiele wolniej, niż wznosił się w górę.

— Wspaniale! — śmiał się na całe gardło Alek. — Całkiem jak na wizjolekcji z robotyki. Robik zaś stanął tuż przed Alką i przechyliwszy głowę na lewe ramię przyglądał się jej z uwagą.

— Teraz wierzysz?

Zastanowiła się. Potem lekkim, ślicznym ruchem dotknęła jego policzka.

— Niezbyt chętnie, kochanie — powiedziała. — Ale wierzę. Robik pokiwał głową.

— Jesteś zarozumiała, kochanie, i masz przewrócone w głowie, kochanie — stwierdził z wyjątkową uprzejmością.

— Skąd wiesz?! — krzyknął entuzjastycznie Alek.

— To się widzi — odpowiedział Robik.

Alka przez chwilę patrzyła na Robika, potem zwróciła się do Iona:

— On ma, niestety, rację — powiedziała z głębokim, rzeczowym przekonaniem w głosie. — Bywam zarozumiała w wyjątkowo przykry sposób.

Alek skrzywił twarz niby ze smutkiem. Ale uczynił to w sposób tak komiczny, że Ion nie był w stanie opanować śmiechu. Nic dziwnego, że Rojowie spojrzeli nań z nagłym przestachem.

— A tobie co się stało? — krzyknęła Alka.

— On się tylko w ten sposób śmieje — wytłumaczył Robik. Ion chciał przestać, ale aż się zapłakał na widok ich min.

— Moi rodzice... — wyjąkał.

— Jego rodzice — ciągnął dalej Robik — określają ten odgłos jako „atak kaszlu u oszalałej z pośpiechu i ciężko zagrypionej kukułki”.

— Niezwykle trafnie — zachwycił się Alek i teraz oni oboje wybuchnęli śmiechem. Ion zaś od razu przestał. Patrzył tylko na Alkę i słuchał jej głosu.

Ich oczy spotkały się.

— Proszę — powiedziała Alka. — W tej chwili ty sam przewracasz mi w głowie. Nie zawsze ja jestem winna.

Można było odpowiedzieć z przekorą lub z pokorą. Nim jednak się Ion zdecydował, Robik ostrzegawczo podniósł palec w górę.

— Przypominam — powiedział. — Najwyższy czas na śniadanie, bo nie zdążycie do wieży startowej.

— Ratunku! — zawołał Ion. — Jazda!

I pierwszy wskoczył na ruchomą ścieżkę, wiodącą do terasy jadalnej. Ścieżka niczym rudy wąż mknęła środkiem turkusowego trawnika, omijając kwiatowe klomby. Nad głową Alki zamigotał niebieskimi — jak jej oczy — skrzydłami niewielki motyl.

— Modraszek junosza — powiedział Robik — czyli Lysandra bellargus.

— Bardzo mi miło — uklonił się modraszkwowi Alek.